№ 3.

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
*Rej z Nagłowic.*

**ROK 1846.** Poznań, dnia 9. Lutego.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów* **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Przysłowia są mądrością ludu, ale nie wierzy w nie żaden człowiek uczony, ani nawet wykształcony, skoro swe osobiste względem nich zdanie objawia; wszyscy zaś uczeni i wykształceni ludzie wzięci razem, uznają za słuszne wszystkie przysłowia. Ta różnica między pojedyńczą a zbiorową uczonością i oświatą pochodzi ztąd jedynie, że przysłowia jako mądrość ludu, zawierają naukę ze wszelkich stanowisk, z uwzględnieniem stronnictw, jakie były lub być mogą, dogadzanie wszelkim interessom, podnoszenie cnoty, usprawiedliwienie z tego postępku i życia. Ten wielostronny kierunek przysłów, robi je niezmiernie praktycznemi w życiu, ale przez to samo stawia je w sprzeczności pomiędzy sobą, tak dalece, że się nawzajem znoszą i wzięte razem, na nic nie obejmują przestrogi. Dawniéj miały narody mędrców, którzy pisali dla nich uczone dzieła, a razem układali prawa, rządzili społeczeństwem w pokoju i prowadzili naród na wojnę. Takich mędrców widzimy w cywilizacyi greckiéj, ale niemasz dzisiaj w żadnym narodzie europejskim. Taka monopoliczna mądrość pochodziła ztąd tylko, że nauka i oświata już się daleko rozwinęła w swoim postępie, ale pomiędzy małą tylko liczbą osób; że zaś do autorstwa, prawodawstwa, polityki i prowadzenia wojny trzeba ludzi oświeconych, a tych nie wiele było, przeto jedne i te same osoby musiano stawiać na czele każdéj ważniejszéj gałęzi. Wtedy mądrość była jednostajniejsza, nie na wiele stronnictw podzielona, z jednych widoków na świat się zapatrująca, wtedy nie istniało tyle przysłów, i razem brane, stanowiły harmoniczniejszą całość. Dzisiaj, w rozprzestrzenieniu oświaty, porzuceniu nauk narodowych, w rozprzężeniu zasad religijnych, w krytycyzmie czasu, mądrość jest w rozbiciu indywidualném, wszystko z jednéj strony podnosi, zachwala, uwielbia, a z drugiéj poniża, gani, depce. Przysłowia, które w każdém miejscu i na każdy przypadek niosą sposób lub lekarstwo, są tém samém, co dzisiejsza mądrość naukowa, i ztąd do nich nawet oświeceni tak jak prostacy udawać się mogą. Ubolewa świat cały nad tém rozstrojeniem ducha, ale któż wie, czyli Opatrzność niezrządziła téj anarchii w zakresach pojmujących wyższe stanowiska, aby zrównać uczonych z ludem. Nadszedł nareszcie czas, że wszystko zeszło na stopień równości, i nawet z nabytéj nauki nie może się nikt chełpić, bo uczoność z całéj swéj piśmienności mało co wie więcéj, jak lud ze swoich przysłów.

## ORYL. *)

### *Powieść Leona K.*

### I.

Piękna to ziemia, to Mazowsze nasze — piękna, droga dla tych, co się zrodzili na niéj i przywykli do równych pól ojczystych, do sosnowych borów, okolających każdy widnokrąg. Piękniejsza, milsza jeszcze tym, co w ruinach zamków i dawnych mogiłach potrafią czytać stare jéj dzieje; co w podaniach i pieśniach ludu umieją ocenić najpiękniejszą z poezyi —

*) Orylami na Mazowszu zowią najmujących się do spławiania tratew. Rzemiosło ich zowie się orylką.

poezyą gminną. A na naszém Mazowszu dużo jeszcze stérczy starych wieżyc, wiele zamków, co nie wielkim kawałkiem muru uczepiają się ojczystéj ziemi; a jeszcze więcéj krąży tam powieści starych a prostych, wesołych i strasznych. — I pieśni tam dużo płynie z echem po rannéj rosie i o zachodzie słońca, pieśni tak rzewnych, z tak rzewną nutą, którą tylko mogła zrodzić ta niewysłowiona tęsknota, co to nie wiedzieć zkąd ogarnie ci serce, kiedy się ujrzysz sam na szczerém, równém polu mazowieckiém.

Nad Pilicą, co płynie w krakowskiéj ziemi, a z południowéj strony okala Mazowsze, zaległy szerokim pasem zielone łąki. Stogi siana w gromadach to pojedyńczo stérczą na téj zielonéj równi; po jednéj stronie czernieją pasma sandomirskich borów, po drugiéj wzgórza mazowieckie, na których usiadły wsie z długim rzędem chat wieśniaczych i miasteczka ze swemi kościelnemi wieżami.

Nad wąwozem, co bokiem przypiera do rzeki, tu i owdzie, wyżéj, niżéj wyglądają chaty o słomianych dachach, a w dół ku rzece, różnobarwna tkanina ogrodów warzywnych. — Po jednéj stronie oczerniała wieża kościoła wiejskiego, otoczona koroną z lip starych, a po drugiéj, niedaleko drogi prowadzącéj do najbliższego miasteczka, z pośród topoli i świerków, dworzec pański patrzy w rzekę białemi oknami.

Drogą prowadzącą do wioski postępował młody podróżny; szedł wolno, często się zatrzymując, znać był pod urokiem krajobrazu, co się przed nim rozwijał. A był to właśnie jeden z tych dni czerwcowych, co stanowią prawdziwą wiosnę w kraju naszym. Był wieczór, słońce przyszedłszy nad ciemno zielone pasmo dalekich borów, jaskrawym pożarem oświecało zachód; w powietrzu panowała cisza i spokój. Młody podróżny w zadumaniu, któremu się oprzeć nie mógł, patrzał na tę rzekę u stóp swoich płynącą na zielone łąki, co ją objęły w ramiona, i na wieś nakoniec w tak malowniczém położeniu przyległą na wzgórzu. W tém usłyszał po za sobą odgłos pieśni śpiewanéj gdzieś w odległości — obejrzał się — pieśń coraz bliżéj, coraz wyraźniéj dawała się słyszeć. — Niedaleko, tą samą drogą, grono wieśniaków, powracających od sianożęcia, postępowało wolno śpiewając. Młodzieniec z pewnym wyrazem zapału na twarzy, wpatrywał się w tę gruppę malowniczą w białych koszulach, z kosami na ramieniu, zstępującą ze wzgórza. — Na przodzie, odłączony od gromady, szedł młody parobczak wysokiego wzrostu, w białéj koszuli, przepasanéj pasem skórzanym, z czerwoną wstęgą u szyi i kosą na ramieniu, przechodząc koło podróżnego:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedział, uchylając słomianego kapelusza.

— Na wieki wieków — odrzekł młodzieniec — jestem obcy w téj stronie — dodał, zbliżając się do wieśniaka, — powiedz mi przyjacielu, jak się ta wieś nazywa?

— A to Wysoka, proszę panicza!

— Ty bracie pewnie tutejszy, — pytał daléj podróżny.

— Do jutra tylko tutejszy, paniczu — odpowiedział parobczak z uśmiechem — ja się na wiosnę orylką trudnię, już pięć razy byłem z tratwami w Warszawie i daléj, jutro téż popłyniewa z Bogiem — dodał, pokazując na rzekę.

— Macie tu we wsi karczmę, gdzieby przenocować można?

— Jestci karczma tam w dole przy trakcie, ale panicz może iść do dworu, to nasz pan przyjmie panicza, bo dobrego pana mamy Bogu dzięka.

— Wasz pan jak się nazywa? czy żonaty?

— Nasz pan Linoski się nazywa, proszę panicza, dwa roki już będzie jak mu żona umarła, tera tylko z córką mieszka we dworze; a już to cały ich ród dobry i miłosierny, naszą panienkę, to w całéj wsi ludzie błogosławią i kochają, bo dobra jak anioł, czy kto zaniemoże, czy mu się bieda stanie, to ona już sama pójdzie do chałupy, wypyta, poradzi i na lekach się zna, kieby lekarka jaka.

Podróżny idąc obok Oryla, z przyjemnością słuchał jego gawędy. Już właśnie minęli cmentarz i kościół, a kiedy do wsi wchodzili, mrok zupełny zapadał.

W lewo, gdzie się ciągnął sznur chat wieśniaczych, nad wierzchołkami drzew ukazał się naprzód gruby kłęb dymu, zaledwie widzialny w zmroku wieczora, za nim drugi i trzeci, nareszcie buchnął płomień i wzbiły się wysoko iskry świecące — wyraźnie pożar wszcząć się musiał.

— Jezus Marya, gore! — zawołał Oryl.

Dzwon kościelny uderzył na gwałt, ludzie z krzykiem zbiegać się poczęli. — Nasz młodzieniec ze swoim towarzyszem pobiegli w stronę ognia, który już teraz dobrze można było rozróżnić.

— To chałupa Wozniakowéj, — krzyknął Oryl, załamując ręce, — a moja Kasia tam leży chora — i pobiegł pędem strzały do ognia. Podróżny podążył tuż za nim. Pożar już zajął dom cały, kłęby dymu zaczęły już buchać oknami; naokoło stali ludzie przerażeui, kobiety zawodziły, płacząc i modląc się. Od strony dworu nadbiegł widać dziedzic z dworskimi, przy jego boku tuliła się młoda kobieta, okryta ob-

szerną mantylą; młodzieniec nie miał czasu dobrze się przypatrzyć, bo usłyszał krzyk rozdzierający wewnątrz chałupy. Jednym skokiem już był u drzwi palącego się domu, wpadł do pełnéj dymu sieni, wypchnął drzwi od izby; na łóżku na wpół leżała młoda wiejska dziewczyna, blada od choroby i przestrachu; porwał ją szybko, belki trzeszczały nad ich głową, w sieni uderzyło go coś silnie w ramie, i w końcu wypadł na świeże powietrze. Już w progu spotkał Oryla, który padł mu do nóg, dziękując za uratowanie kochanki.

Tymczasem przytomność samego dziedzica, sprowadzenie sikawki i zupełna cisza, szybko pomogły do ugaszenia pożaru, który wszczął się, jak to najczęściéj na wsiach bywa, przy pieczywie chleba. — Nasz młodzieniec usunął się na bok, i dopiero uczuł, że jego ręka uderzeniem belki mocno stłuczoną została. Naprzeciwko niego młoda kobieta, którą zdaleka widział stojącą przy dziedzicu, zbliżała się teraz szybko w stronę, gdzie stał Oryl przy osłabionéj dziewczynie i poczęła z całą troskliwością cucić przelęknioną dziewczynę, słuchając opowiadań Oryla o nieznajomym paniczu, co wyniósł Kasię z płomieni. Raz tylko młodzieniec ujrzał jéj na wpół łzawe oczy, obrócone ku sobie i cudne białe lica, oświecone łuną gasnącego pożaru; późniéj młoda dziewica wzięła ocuconą Kasię pod rękę, i poszła ku dworowi.

W téj właśnie chwili dziedzic zbliżył się do młodzieńca, witając go z przyjacielską uprzejmością:

— Szczególne zdarzenie pozwoliło mi, zaznajomić się z panem i być świadkiem odwagi, którą pochwalić muszę, — dodał z uprzejmym uśmiechem — jeźli łaska, to proszę ze sobą w moje progi.

— Wprzód, nim korzystać mogę z grzeczności pańskiéj, winienem wytłómaczyć moje zjawienie się tutaj. — Jestem Władysław K., przed paru dniami opuściłem Warszawę, w celu odprawienia małéj wycieczki po ojczystéj ziemi. Pieszo puściłem się w te strony, aby się udać do Czerska, a potém zwiedzić Krakowskie i daléj.

— Zamierzona podróż nie przeszkodzi panu zapewne spocząć u nas choć na czas krótki. Jakże, czy zdrowo tylko pan uszedłeś niebezpieczeństwa?

— O, zapewniam pana, że niebezpieczeństwa nie było wielkiego, wychodząc tylko, stłukłem sobie cokolwiek ramie, ale wcale nic nie czuję.

Podróżny znalazł w swoim gospodarzu tę otwartą gościnność polską, co to od razu trafi do serca, zbliży, ośmieli i uwolni od niepotrzebnych frazesów i przesadzonéj grzeczności. Kiedy gospodarz z naszym młodzieńcem wchodzili na ganek dworu, byli już z sobą w takiéj harmonii, jakby się znali oddawna. — Dworzec był obszerny, zwyczajnie wiejsko-szlachecki, jeden z tych dawnych dworów drewnianych o wielkim ganku, które Pol opisał w Pieśni o ziemi naszéj. Sień duża, z wieńcami kilkoletnich plonów. Na lewo wchód do pokoju gospodarza, na prawo do jadalnego.

— No panie Władysławie, witam cię w domu moim — powiedział gospodarz, sadowiąc młodzieńca na kanapie, — przed parą godzinami nie byłbym się spodziewał, że jeszcze dziś będę miał pożar we wsi i miłego gościa w domu.

Wniesiono światło, dano wieczerzę, potém herbatę; młodzieńcowi się zdawało, że parę razy usłyszał w oddaleniu akorda fortepianu, patrzał na drzwi z oczekiwaniem, lecz nikt się w nich nie zjawił. Po paro-godzinnéj szczeréj przy fajkach rozmowie, gospodarz odprowadził swego gościa do gościnnego pokoju, powiedział dobranoc i zostawił samego.

Młodzieniec wcale ochoty nie miał udać się na spoczynek. Dolegała mu stłuczona ręka, a potém z jego okna taki cudny był widok na ogród i rzekę; otworzył je, usiadł i zaczął rozbierać w myśli wypadki dnia dzisiejszego.

Władysław wychował się w stolicy, niedawno ukończył szkoły. Śród murów miejskich i książkowego życia, zatęsknił do wolnego wiejskiego powietrza, do pól samotnych, zielonych — chciał się zbliżyć do tego ludu, który tak gorącą ukochał miłością. I ujrzał nakoniec spełnionemi swoje życzenia. Od parę dni oddychał wiejskiém powietrzem w zupełnie nowéj dla siebie stronie, przed sobą miał jeszcze tak miłą, przyjemną podróż; i uczuł tę błogość, która powstaje w dwudziestoletniém sercu, kiedy się ujrzy pierwszy raz wyrzuconym z karbów jednostajnego codziennego życia na obfite w nowość i rozmaitość wypadki. — Patrzał w tę noc miesiącem wyjaśnioną, tak piękną, spokojną, napawał się tą ciszą wiejską, przerywaną tylko łoskotem dalekiego młyna. — Jego dusza mimowolnie nastrajała się de słodkich marzeń. „Raz miał przed oczami wieśniaczą chatę w płomieniach, to znowu śmiałą postać Oryla, a najczęściéj cudne lica młodéj dziewicy, które tak krótko ujrzał przy jaskrawém tle pożaru.

## II.

Z ranném słońcem, co śród mgły wstawało, powstał Władysław i wyszedł do ogrodu. Domyślał się, że teraz nic mu nie wypada uczynić, jak tylko pożegnać uprzejmego gospodarza i ruszyć daléj w podróż; — czuł jednak sam nie wiedząc dla czego, żeby mu z ochotą przyszło dłużéj się pozostać. Wła-

śnie zastanawiał się nad tém, kiedy wychodząc z ogrodu na podwórze, ujrzał pana Linoskiego powracającego już z pola.

— Oho! ranny z pana ptaszek! — wołał idąc naprzeciw młodzieńca — będziemy piękny dzień mieć Bogu dzięki, a ja właśnie coprędzéj z mojém sianem uwinąć się muszę.... A jakże wczorajsze stłuczenie? — i z troskliwością oglądał rękę, która w istocie więcéj opuchła.

— To nie dobrze, trzeba się będzie poradzić doktora.

— O, nic wielkiego, samo przejdzie, zaręczam panu.

— Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło.... Może to pana dłużéj u nas zatrzyma. Przynajmniéj nie puścimy pana od siebie — dodał z uśmiechem — nim się kuracya ukończy.

Młodzieniec się ukłonił, czuł że mu trudno będzie oprzeć się szczerym zaprosinom, wspólnie rozmawiając zbliżali się do miejsca wczorajszego pożaru — wśród ścian do pół spalonych stérczał już tylko oczerniony komin. — Drogą naprzeciw odewsi idącą postępował Oryl, uchylił kapelusza i drapiąc się w głowę, zbliżał się do dziedzica.

— Co powiesz Jędrzeju — zapytał go ten z dobrocią.

— A to proszę Wielmożnego Pana, ja dziś stąd wyruszam, bom się najął do drzewa co go Miemieć z Nowego Miasta spławia do Wisły, — chciałem więc prosić Wielmożnego Pana o jakie pomieszczenie dla Kasi i jéj matki, — myślałem, że się pobierzewa zanim odjadę, — byłby dom i wszystko — a teraz chałupa się spaliła, ja muszę w świat ruszać a one niebożęta nie mają się gdzie podziać.

— Dobrze mój kochany, Kasia nim wyzdrowieje, może być na folwarku, o matce téż pomyślę.

— Żeby Wielmożny Pan był łaskaw i ogród im zostawić...

— No, no, możesz odpłynąć spokojny, wszystko się zrobi, a jak wrócisz, będziemy mieli wesele.

— Dziękuję... i żegnam Wielmożego Pana; na Ś. Jakób jeśli Bóg pozwoli będziemy z powrotem. Oryl się skłonił i odszedł.

— Lubię tego chłopaka, poczciwy i do pracy ochotny — przetarł się téż troche w świecie, ma dużo naturalnego rozsądku i téj śmiałości z którą naszym chłopom tak do twarzy.

— O jestem pewny, — mówił Władysław — żeby tylko w naszym ludzie, dobrém obchodzeniem obudzać tę iskrę szlachetną od natury mu daną, rychłoby przyszedł do poznania własnéj godności.

Gospodarz z młodzieńcem rozmawiając zwrócili się drogą prowadzącą do dworu.

Tymczasem we dworze, w pokoju jadalnym, gdzie zastawiono śniadanie, siedziały dwie kobiety przy oknie. Starsza, panna Agata, nie bardzo młoda, nie bardzo piękna, była siostrą pana Linoskiego, bawiła w domu brata od śmierci jego żony. Druga młodsza była córką gospodarza. Siedmnastoletnia Anielka była piękna tą pięknością, co to się zdaje, że tylko pod wiejskiém niebem wyrasta. Skromnie, biało ubrana, o ciemnych włosach; jéj kibić wiotka, smukła, a nadewszystko spojrzenie ciemnych modrych oczu, czyniło ją podobną do lilii wodnéj, o któréj śpiewają na Mazowszu w piosence.

Otworzyły się drzwi od sieni, pan Linowski z Władysławem weszli do pokoju, nastąpiło przedstawienie.

— Moja siostra — moja córka — pan Władysław K.

Panna Agata dygnęła. Anielka spuściła oczy i pobiegła ukryć rumieniec, całując ojca w rękę na dzień dobry.

Wszczęła się rozmowa, naturalnie o wczorajszym pożarze. Panna Agata żaliła się na migrenę i przestrach, jaki jéj ten wypadek zrządził. Władysław był nieśmiały, roztargniony — bo kiedy pan Linoski wspomniał o jego stłuczonéj ręce, zdawało mu się, że dwoje cudnych oczu zwróciło się ku niemu z tym samym wyrazem jak wczoraj przy ogniu.

Po śniadaniu przeszli wszyscy do sali, gdzie stał fortepian, Władysław pytał o muzykę, o nuty. Anielka siadła z czuciem i biegłością zagrała Szopenowskiego mazurka. Muzyka ośmiela, zbliża. Władysław już śmielszy daleko, poprosił o śpiew.

Młoda dziewica odezwała się z uśmiechem:

— Pan w Warszawie przyzwyczajony do pięknych oper i włoskiéj muzyki, a ja tak mało śpiewam. Jeśli pan chce usłyszeć wiejską prostą piosenkę, to mogę zaśpiewać — słowa i nuta czysto gminne.

— O! o taką właśnie proszę pani — wyrzekł Władysław.

Przegrywka piosnki gminnéj, w tęsknych akordach zabrzmiała i głos czysty dziecinny....

Wyszła dziewczyna,
Wyszła jedyna,
Jak liliowy kwiat;
Oczki zapłakała,
Rączki załamała,
Zmienił jéj się świat.

A czego płaczesz,
Czego narzekasz,
Dziewczyno moja;
Jak ja nie mam płakać,
Jak nie mam narzekać,
Nie będę twoja!

— A co! — zawołała śmiejąc się młoda śpiewaczka — takiéj piosenki pan pewnie jeszcze przy fortepianie nie słyszał.

Młodzieniec patrzał w zachwyceniu w tę śliczną postać; on w istocie ani tak harmonijnego głosu nie słyszał, ani tak anielskiéj twarzy nie widział.

— Ach ty zawsze lubisz śpiewać takie proste piosenki, — odezwała się panna Agata — zaśpiewaj co innego, bo ten pan poczyta cię za parafiankę.

— O nie pani! — i młodzieniec z całym zapałem, jakim go natchnął śpiew Anieli, zaczął opisywać urok, jaki ma dla niego poezya gminna z jéj prostą rzewną nutą.

— Z naszych kompozytorów — powiedziała Anielka — tylko Szopen, co najlepiéj rozumie melodyą gminną, i z takim wdziękiem potrafi ją umieścić w swych utworach, pewnie też w tém leży ten urok, który na nas wywiera jego muzyka.

Rozmowa od muzyki przeszła do literatury, bo Anielka równie czuła muzykę, jak rozumiała poezyą. Chwile biegły mile, prędko i dzień wreszcie uleciał.

---

Nad Pilicą tymczasem pomierzchły sosnowe bory w zmroku wieczornym, lecz tą razą cisza przerywana była gwarem i rozmową od karczmy, co niedaleko rzeki stała z otwartemi wroty, wyszła gromada orylów w słomianych kapeluszach, z wiosłami na ramieniu, mających się puścić w podróż. Nastąpiły krótkie pożegnania z przyjaciołmi, rodziną, i wkrótce cała gromada ze śpiewem i śmiechami zmierzała ku rzece.

Ode wsi szedł w milczeniu Jędrzéj ze spuszczoną głową, czasem obejrzał się po za siebie, westchnął — i wreszcie zbliżył się do swych towarzyszy.

— Do pioruna Jędrzeju! nie smućcie się — zawołał stary Oryl z ogorzałą twarzą, wyjmując z ust krótką fajeczkę — powróciewa przecie niedługo, dziewczyna wam wyzdrowieje i będziemy mieć weselisko.

Jędrzéj skoczył na tratwy, co długim sznurem od brzegu się ciągnęły, zapalono ognie; księżyc tymczasem wyjrzał jasno z po za chmur, oświecił powierzchnią rzeki i gromadę malowniczą Orylów, co się sadowili na tratwach. Plusnęły razem drygawki, długie pasy drzewa ruszyły — z brzegu jeszcze było słychać pożegnalne nawoływania.

Oryl co stał u przodu, zanócił pieśń, chór mu wtórował:

Oj, Oryl ci ja Oryl, orylka mi służy,
Oj dajże Panie Boże, żeby jak najdłużéj;
Oj Oryle, Oryle, marnie poginieta,
Taj od samego Gdońska, karczmy nie minieta
Oj jak przyjdzie zima, Orylowi bieda,
Przedzwoni ją zębami za piecem u żyda.
Zarwana diabłu zima, jak przyszła, tak minie
A Wisła matuleńka znów raźnie popłynie,
Oj popłynie, popłynie .......

Echo wieczorne daleko rozniosło po rosie nutę pieśni, którą trzeba było słyszeć tak śpiewaną chórem na rzece przy świetle księżyca z tą nutą tęskną, przeciągłą, mazowiecką.

O téj chwili, w otwartém oknie chaty, wychodzącém na rzekę, widać było młodą dziewuchę, co patrząc w stronę, gdzie popłynęły tratwy, ocierała oczy końcem fartucha. Kiedy już echo doniosło ostatnie tony orylskiéj pieśni, Kasia zamknęła okno i w chacie tylko słychać było ciche szepty modlitwy.

*(Dokończenie nastąpi.)*

---

# Arystokracya pieniędzy.

*(Dokończenie.)*

Lud Izraela potérany i pogardzony przez chrześciańskie narody, odgadł najprzód potęgę pieniędzy, i poznał, że tym środkiem zdobędzie sobie panowanie nad tymi, co nim pogardzali, że sam z niewolnika stanie się panem, a tych, co byli panami, w niewolników swoich zamieni. Od Żydów pouczyli się Nieżydzi, ale tak jak tamci ulali sobie cielca złotego i uznali go za bożyszcze swoje, i niebawem świat cały zaczął się tym samym bożyszczom kłaniać, a bankierowie, wexlarze i ludzie pieniądze gromadzący, byli owymi wielkimi kapłanami złotego cielca, którym składano kadzidła i wonie, adoracye i ofiary. I ujrzano w rzędzie ofiary czyniących i kadzidła znoszących wszystkie wielkości tego świata.

Wyszło niedawno w Paryżu pismo pod tytułem: *les Juifs rois de l'epoque* przez pana Toussenel,

głównego redaktora dziennika *dèmocratie pacifique*, napisane z talentem i dowcipem, będące manifestem przeciw arystokracyi pieniężnéj, która w dzisiejszéj epoce panuje nad wszystkiemi stosunkami. Pismo to uderzające stawia zasady. Twierdzi, że demokracya zawsze iść powinna w parze z rządem monarchicznym i wspierać go swojemi siłami, aby na odwrót wsparta jego potęgą, potrafiła urzeczywiścić swoje dążności. Dowodzi z historyi francuzkiéj, że ile razy w kraju władza monarsza przychodziła do potęgi, tylekroć massy ludu miały się lepiéj pod materyalnym i moralnym względem. Uważa daléj autor, że nieprzyjaciołmi demokracyi i dobra ogółu, nie są rządy ani trony, ale że wrogiem jéj jest nowa arystokracya pieniędzy, która zasiadła na posadach, opróżnionych z arystokracyi rodu. Policza do niéj wszystkich sobieradzkich i dusi-groszów, ludzi pieniężnych i giełdowych, posiedzicieli wielkich włości i kopalni, fabrykantów, kupców i przemysłowych na wielką skalę — i tych to wszystkich kapitalistów, bez względu na wyznanie, nazywa Toussenel żydami, o których powiada, że są królami epoki dzisiejszéj.

Żydzi — są słowa autora — dzierzą dziś prawie wyłącznie w ręku swojém cały wpływ polityczny i całą władzę polityczną i środkiem pieniędzy i kapitałów potrafili posieść nanowo wszystkie owe przywileje — choć w innéj formie — przeciwko którym tak krwawo walczyła rewolucya francuzka zeszłego wieku. Jak niegdyś klassa rodem uprzywilejowana, tak dziś klassa kapitalistów, czyli żydów wszelkich wyznań, ssie wszystkie zasoby ludu i państwa, i ściąga całe bogactwo narodowe do siebie. Giełdy i targi, to miejsca ich walk, z których występują zwycięzko ci, co mają ogromne kapitały do dyspozycyi. Producenci i konsumenci porówno padają ofiarą, bo owładniony przez kilku pokup, zmusza produkującego do cen, jakie tamci stanowią, a kupujących do opłat, jakie po zniszczeniu konkurrencyi, kapitalistom podoba się nałożyć. Przeciwko konkurrencyi zagranicznéj fortyfikują się cłami, które rządy w ich interesie na cudzoziemskie towary nakładają. Oni są (we Francyi) panami kanałów i kolei żelaznych, i wszelakich środków transportowych, a tym sposobem na cały kraj dowolne nakładają podatki, które im miliony w zysku przynoszą. Z drugiéj strony ściągają ogromne dochody z pożyczek rządowych, z operacyi bankowych i licznych monopolów; albowiem mimo praw zakazujących monopole, żydzi osięgają je środkiem takich kapitałów, z któremi nikt inny we współzawodnictwo iść nie może.

Z tego to powodu ubożeje lud coraz bardziéj, i z niemożności utrzymania swobód i wolności socyalnych, prawnych i politycznych, i korzystania z nich, utraca je i pozbywa się ich jednéj po drugiéj. Taki stan rzeczy jest początkiem feudalnego panowania pieniędzy, które jeżeli się do zupełności wykształci, poniżenie i niedola ludu, pomimo istniejących praw wolności, stanie się daleko większą, niżeli była w średnich wiekach, które z prawa niedolę ludu uświęcały. Przyjdą czasy, gdzie z robotnikiem i wyrobnikiem tak się obchodzić będą ci, co go wyzyskiwują jak się gospodarze obchodzą z owcą lub z bydlęciem; starać się będą o jego tuszę cielesną, ale wytracą w nim godność człowieka i uznanie praw wolności i równości. „Stan murzynów — dodaje pan Toussenel dla wyjaśnienia myśli swojéj — w południowych częściach zjednoczonych stanów Ameryki, znacznie się polepszył materyalnie odkąd właściciele niewolników, hodować ich zaczęli. Wątpię bardzo aby murzyni w tych krajach, pomyśleli kiedykolwiek o wolności swojéj, gdy się zamienią w stadniny i chowani będą na podobieństwo stad owiec i koni.

Sprzymierzeńcami i narzędziami arystokracyi pieniężnéj, a tém samém współwinowatymi, są wedle autora przytoczonego pisma, co żyją z okruchów, spadających ze stołu żydowskiego, — ile, że i te okruchy, tak jeszcze są posilne i pożywne, że pożywających je na kapitalistów wystawiają. Należą tu adwokaci, dependenci, plenipotenci, komissarze i t. p. Najsmutniejsza, że nawet pewna część literatów i z małemi wyjątkami całe dziennikarstwo przyjęło liberyą plutokratów. Utworzenie dziennika potrzebuje wielkiego nakładu i dla tego od razu zaraz oddaje się jego redaktor w ręce kapitalistów i akcyonaryuszów. A że największe dochody oblicza z doniesień, którym czwartą część dziennika swojego codziennie poświęca, nie może powstawać przeciw tym z których żyje, ostatecznie zaś sam ma zyski swoje i zbogacenie się na widoku.

Dla tego to dzienniki zawsze trzymają stronę kapitalistów i są ich poplecznikami, tworzą opinią przeciw rządowi i izbom i zmuszają je do stanowienia ustaw na korzyść tamtych. W roku 1831 interes posiedzicieli gruntów i fabrykantów sukna zniweczył wniosek połączenia Belgii z Francyą i nieobliczone stąd polityczne następstwa. Ten sam interes prywatny stał na przeszkodzie w zeszłym roku do zaprowadzenia związku celnego między obydwoma krajami. Kiedy niedawno temu, chciano przysądzić domowi handlowemu Rothschild budowanie kolei północnych we Francyi, pod warunkami o 150

milionów franków korzystniejszemi, niżeli je potém mu przysądzono, Dziennik Sporów popierający sprawę kapitalistów, śmiał powiedzieć w obec całéj Francyi, „że towarzystwo akcyonaryuszów pana Rotschilda stara się u rządu o przywilej bankructwa dla siebie.“

Wkrótce po zaciągnieniu pożyczki rządowéj z domem Rotschildów, uczyniono wniosek do izby deputowanych, aby znieść monopol nałożony na sól, który wprawdzie do 60 milionów rocznego dawał dochodu, ale na saméj massie ubogiego ludu ciążył. Ponieważ taki *deficit* musiałby być zakrytym na dochodach możniejszéj klassy, oparli mu się kapitaliści, a Dziennik Sporów, będący ich organem, podawał za przyczynę nieprzyjęcia projektu: że rząd uczyniwszy pożyczkę, dał wierzycielom swoim rękojmię pewności kapitału i prowizyi na dochodach państwa, które zatém chcieć dziś umniejszać, byłoby kredyt kraju nadwerężać.“ Organ arystokracyi pieniężnéj wypowiedział gołosłownie najwyższą władzę kapitałów, któréj się i rząd krajowy i izby prawodawcze i cały naród oddał na łaskę.

„Tym sposobem żydzi — kończy pan Toussenel, wyjednali sobie dokumenta hypoteczne na wszystkie państwa — a zadłużone kraje dochodami swemi nigdy nie będą w stanie im się wypłacić. Cała Europa dostała im się w zastaw. Panowanie nad światem, które było daremném marzeniem tylu zdobywców, dostało się *de facto* w ręce żydów. Bóg Judei spełnił słowa proroka, dał zwycięztwo synom Makkaba: Jeruzalem nałożyło haracz na wszystkie narody ziemi. Główna część dochodów państwa wszystkich kraji, czysty dochód z pracy wszystkich pracowników spływa do kieszeni żydów pod nazwą prowizyi z długu narodowego, i spełniły się słowa Mojżesza zapisane w piątéj księdze Pentateuchu rozdz. 28. wierszu 12.: „I ty Izreal pożyczać będziesz wszystkim narodom, a sam od nikogo pożyczać nie będziesz.“

---

## ROZMAITOŚCI.

— Bohaterskie kobiety. Pewien Niemiec w służbie rossyjskiéj opisuje atak na warownię Achulgi na Kaukazie: między wszystkiemi obrazami, które uniósłem z kampanii Rossyan przeciw Czerkiesom, jeden szczególniéj utkwił mi w pamięci. Było to krótko przed końcem walki, kiedy idąc za kapitanem Schulcem na czele batalionu, wdrapywaliśmy się na jedno nadzwyczaj spadziste urwisko. Ogień z dział ustał, wiatr porozpędzał obłoki dymu, a nad nami ujrzałem na szczycie wązkim skały, mnóstwo czerkieskich kobiet. Zbliżanie się Rossyan, zapowiadało nieuchronną zgubę, lecz one z silném postanowieniem umrzeć a nie poddać się, ostatnich dobywały sił, aby nam przed swą śmiercią dotkliwe zadały straty. Okryte coraz gęstszym dymem prochu, wyglądały jak złowieszcze geniusze, które roznosiły z góry okropność i postrach. Pozrzucały one w uniesieniu bitwy swe suknie wierzchnie, a rozpuszczone włosy w dzikim nieładzie, spadywały na obnażone ramiona i piersi. W tém cztery kobiety dokulały do stoku z nadludzkiém wytężeniem ogromny głaz i rzuciły go ze spadzistości na nas. Kilku żołnierzy zostało przezeń powalonych, obok mnie pędem przeleciał. Spostrzegłem nakoniec spokojną kobietę w téj całéj krwawéj rozprawie, do niéj chłopyszek przyczepiony, stał drzący, nagle zrywa się kobieta, chwyta swego dzieciaczka i roztrzaskuje mu o skałę głowę, rzuca go i siebie w przepaść. Kilka kobiet poszło za jéj przykładem.

— W Pompeji, niedaleko od świątyni Augusta, wykopano dwa kramy, w których widać sprzedawano naczynia kuchenne z żelaza i miedzi. Naprzeciw tych kramów odkryto skład płyt z marmuru czysto afrykańskiego i pięć posągów marmurowych.

— Amerykanin Willis powiada w swém dziele o Anglii; szczególniéj wyższe stany w Anglii odznaczają się oddawaniem hołdu literackim talentom. Popularny beletrysta stoi na czele ugrzecznionego ukształcenia, wyżéj od księcia ceniony. Jako dawniéj dowódzca rycerzy w królewskim pałacu torował sobie drogę łokciem, pociągając oczy dziewic za sobą; tak dziś ułatwia pióro przystęp do wszystkich towarzystw. Prawda, że o takim bojowniku nie mówią kobiety, jak za czasów rycerskich, on walczył pod Hennebon lub Pawią, lecz on umieścił prześliczną poezyą w Blackwood, lub magazynie Colbourna. Panny, które chcą iść za mąż, nie pytają teraz o stopnie i bogactwa, (?) lecz o geniusz i moc charakteru przyszłego swego męża.

— Nadeszły nareszcie tyle okrzyczane dyamenty z Brazylii, lecz przekonano się, że nie są tak czystéj wody jak dawne, a przeto nie zniżą cen dawnych brylantów.

— Wiadomą jest rzeczą, że statki parowe amerykańskie zbyt szybko płyną, i z tego powodu wiele nieszczęść się wydarza. Niedawno temu wpadł statek parowy na drzewo ukryte w rzece Missisipi i ztąd przestraszyli się podróżni na nim płynący. Jedna otyła w średnim wieku będąca kobieta, wpada w nocném ubraniu z kajuty damskiéj do męzkiéj. Obawiała się, aby statek nie zatonął i opasała się przepaską nieprze-

puszczającą powietrza, która nadęta, unosi nią opasany ciężar. Lecz że się przelękła i z przestrachu osłabła, przeto nie mogła nadąć swojej przepaski. Wpadła więc do kajuty mężczyzn, krzycząc z przerażenia: Blow me up! Blow me up! (nadmijcie mnie! nadmijcie mnie!) Rozumie się samo przez się, że ją śród powszechnego śmiechu nadymano.

W Paryżu wystawiają nową sztukę Felixa Pyata, pod tytułem „Diogenes.“ Sztuka ta bardzo się podoba. Od początku do końca, ciągle jest treści politycznéj i podoba się jedynie z powodu scen zdiętych z politycznego obecnego życia i widzimy dawnych Greków, Diogenesa, Peryklesa i t. d. rozmawiających jak dziennikarzy, deputowanych i ministrów naszych czasów. Jestto typem naszych czasów, iż polityka wkrada się nawet do teatrów, dramata, są innemi słowy przerobionemi artykułami z gazet. Spodziewać się przeto trzeba wielkich zmian w świecie teatralnym, iż na scenie naszéj, jak w dawnéj Grecyi zajaśnieją płody wzięte z życia i pytań czasowych. Jeżeli do tego znajdą się talenta i nie położą tamy ze strony rządów, spodziewać się należy, że sztuka kształcić lud będzie, jak za czasów klassycznéj Grecyi.

W Awinionie spaliła się niedawno temu synagoga, a z nią i księgi prawodawcze, które mają wielką wartość u Żydów. Księgi tylko mogą być w Jerozolimie przez rabinów pisane, co wymaga lat kilka, a najmniejsze uchybienie lub nierówność liter, całą pracę niweczy, a księgi muszą być od początku pisane.

— Według zwyczaju starodawnego, w pierwsze święto Bożego narodzenia stawiają na stół królewski we Windsor ogromną pieczeń wołową, zwaną Baron Wołowina (Baron of Beef). W tym roku zastawiona polędwica wołowa, ważyła 307 funtów, a piekła się szesnaście godzin przy ogromnym ogniu.

## MODY.

Paryż, dnia 3. Lutego 1846.

Salony wszędzie są otworzone, a moda w téj chwili obudza wszystkich ciekawość, aż ją rozwieje jaki uragan lub burza. Kwiaty naturalne jeszcze się bardziéj podobają w tym, aniżeli w upłynionym roku, i widzimy po pokojach niesłychany zbytek w kwiatach rzadkich lub zagranicznych, które najprzyjemniejszą woń po przestrzeniach salonów roznoszą. Bukiety w ręku dam tak są wielkie, że dziwić się przychodzi, jak drobne rączęta takie objąć mogą masy.

Jasne, krzyczące kolory przed innemi panują, szczególniéj kolor czerwony ma pierwszeństwo. Nigdy nie widziano tyle złota w ubiorach, a nawet niém owijają kwiaty.

Na wieczornych ubiorach draperye szczególniéj noszą, i zapewne berty pojdą w zapomnienie, mimo ich kilkuletniego panowania. Draperye otaczają pierś i ramiona, nadając im pełność, i dla tego przed bertami zasługują na pierwszeństwo.

Suknie z lekkich tkanin mają dwie lub trzy powłoki, a górna, która jest daleko krótszą od drugich, osuta jest kwiatami, wstążkami, lub wenecką plecionką, nakształt lekkich koronek złotem i srebrem tkanych. Poważniejsze tkaniny, jak aksamit, damast i atłas, stroją paskami z koronek, lub szerokiemi falbanami koronkowemi. Większa część tych sukien ma małe rucho z tyłu, które postaci dam nietańczących wielką nadaje powagę. Niektóre z nich są otwarte na spodnicach kosztownych z brokatu, które z przodu haftowane widać całkowicie. W ogóle powiedzieć możemy, iż od czasów Ludwika XIV. i XV. nigdy tyle drobiazgów koronkowych, z wstążek i klejnotów nie pokazywało się na balowych i innych sukniach.

Fantazyjne stroje głowy są rozliczne, szczególniéj wpadają nam w oczy maleńkie kapelusiki, ozdoby w stylu średniowiecznym z aksamitu, złotych i srebrnych koronek i katalońskich lub sewilskich resiliów (siatek).

Słyszeliśmy o zamiarze, zaprowadzenia zamiast białych lub jasno-atłasowych trzewików, bócików w tym samym kolorze i z téj saméj tkaniny.

Kołnierzyki są zawsze jeszcze małe i bardzo suto haftowane. Inne mają haftowane wstawki.

## Objaśnienie ryciny.

1. Surdut wierzchni. Frak. Kamizelka z atłasu haftowanego.
2. Kapelusz atłasowy, zdobny wstążkami. Suknia damastowa z otwartym stanikiem. Mantylla futrzana.
3. Strój głowy z kwiatów. Jedwabna suknia z falbanami zębiastemi.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*